

DJABEL W DOMU

— POWIEŚĆ —

NAPISAŁ A. WIENIARSKI.



CHICAGO, ILL.

Drukiem i nakładem W. Dyniewicz Pub. Co.

1912.

DJABEL W DOMU.

DJABEL W DOMU



POWIEŚĆ

napisał ANTONI WIENIARSKI.



CHICAGO, ILL.
Drukiem W. Dynlewicz Pub. Co.
1912.



Pocziwa żona, raj stworzy ci na
ziemi, — zła, chcesz czy nie chcesz,
do piekła cię zawiedzie.

St. Grochowski.

I.

Pan Julian, syn najpocziwszych rodziców, osiadłych w południowych okolicach Księstwa, ukończywszy chlubnie szkoły z odznaczeniem, przybył do Poznania i przy protekcyi jednego z obywateli, w którego dobrach ojciec jego trzymał dzierżawę umieścił się w jednym z biur tutejszych. Początki dla każdego bywają trudne; ale że pan Julian był chłopiec zdolny, przyzwoity, pocziwy i pilny, więc z lat ośmiu zwrócił na siebie uwagę zwierzchników. Zawakował pierwszy etacik, pan Julian go dostał, z wielkiem zgorszeniem kolegów, którzy od lat siedmiu ośmiu, a nawet dziesięciu, byli na liście aplikantów, ale przychodzili do biura

dwa razy na tydzień, około południa, poprawić parę piór, pogadać z kolegami o wczorajszym dziesięciu bez-atu, albo o zgrabnych nóżkach jakiej ściganej piękności, mówiąc do siebie, jak płacą, tak niech mają. Nie powtórzyli jednak sobie: że tak mają, jak robią, gdy pan Julian ich przeskoczył i byliby gotowi kamieniami go zarzucić, gdyby pan Julian z wrodzoną sobie otwartością podawszy każdemu rękę nie powiedział:

— Wiecie, że nie kłaniałem się, nie prosiłem, nie szukałem protekcyi, nie niekałem się do intryg — dali-Bóg mi zapłać, — a wy nie miejcie na mnie złej woli.

Takim samym sposobem, w rok postąpił na wyższą pensję, a w pięć lat od wejścia do biura, otrzymał nominację na referenta z pensją 1500 mrk., szcząc się ciągle przyjaźnią większej części kolegów, szacunkiem niższych, a ufnością zwierzchników.

Najważniejsze i najdrażliwsze interesa powierzano mu bez obawy, bo wiadano, że w ciągu jego zawodu biurowego nie przyglnęła do jego ręki ani jedna marka, która by nie mógł jawnie przed światem pokazać; że nie zjadł ani jednego śniadania na rachunek łaskawego odrabiania krzywych interesów; że nie wypił ani jednej butelki wina, która nieraz łzami zaleje tych, co nie mogli podobnej ko-

muś postawić. Młodzież kochała go serdecznie za ten hart duszy i serca, a niektórzy panowie koledzy głupcem, nie umiejącym korzystać ze sposobności i umyślnie podsuwali mu różne pokusy, brzęczące i żywe, świecące i smakujące, aby go do swego cechu zapisać.

Pan Julian umiał zawsze wywinać się z nastawionych sideł, gładko, zręcznie, bez niczyjej obrazy, nawet nie dając poznać swojej w tym względzie wyższości i choć czuł dobrze, że postępowania takich panów ściągają na całą ogół nie najkorzystniejszą i utrwalającą się coraz bardziej opinię, robił **swoje**, mówiąc do siebie, że on nie bocian i że nie jego powołaniem jest świat czyścić.

Jak w życiu biurowem **tak i w życiu** towarzyskiem był pan Julian wzorem prawości, przyzwoitości i rozsądku. Mieszkał na Garbarach w dwóch ślicznych pokoikach mających okna na Wartę, a choć mówiono mu, że pokoiki za szczupłe, że schody niewygodne, on powiada: tak krawiec kraje, jak materyi staje i nie myślał o opuszczaniu cichego i ulubionego ustronia. Pierwszy pokoik, wyklejony zielonym obiciem, był razem przedpokojem i mieszkaniem służącego, pomimo to jednak przejrzeć się można było w dębowych, na czarno bejcowanych mebelkach, sprzętach ustawionych symetrycznie w kredensie. Drugi wykle-

jony obiciem perłowem, w drobny niebieski rzucik, był jego sypialnią i pokojem bawialnym. Posadzka pokryta była całą orzechową ceratą, którą służący codziennie, aż do przesady wilgotną szczotką oczyszczał i jesionowe biurko, komódka, łóżko, stoły i stołki, wabiły pozorem i szykownością. Na ścianach nie ujrzałeś malowideł i sztychów, w których wyobraźnia malarza lub rysownika pozwoliła sobie zadzierać z przyzwoitością; ale za to na jednej ścianie wisiały wizerunki sławnych mężów starannie choć bez świecidełek oprawne, na drugiej śliczny obrazek darowany mu na pamiątkę przez jednego z naszych młodych malarzy, przedstawiający krakowskiego chłopka przy konfesyonale, nad łóżkiem umieszczony był czarny hebanowy krzyż, dany mu z błogosławieństwem przez ojca, kiedy pierwszy raz opuszczał dom rodziców, krzyż, który jeszcze jego dziadek w takim samym wypadku od swego ojca odebrał i który był z nim pod Somosierą i gdzieindziej. Nad krzyżem, prześliczny olejny obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, a przypominała panu Julianowi pożegnalny uścisk matki i jej łzy, z jakimi oddawała go w opiekę tej cudownej patronce naszego kraju. Urządzenia pokoiku dopełniała mała biblioteczka z samych wyborych dzieł złożona i flotrowers, na którym młodzieniec w

chwilach samotności posyłał tony swej duszy daleko nad zielone brzegi Orli do drewnianego dworku, gdzie zostawił rodzinę do której mimo wiru światowego w jaki się rzucił, mimo tylu przedmiotów nęcących wzrok i serce, zawsze tęsknił i wdychał.

Człowiek z takim sercem i takim taktem, umiał wybić sobie szerokie koło w towarzystwie, do którego z początku dość nieśmiało weiskał się. Szybkie awanse, znakomita, jak na młodego człowieka pensya, zaufanie zwierzchników, obróciły ku panu Julianowi oczy wielu matek, mających córki na wydaniu. Roztwierano przed nim naościierz podwoje wielu bardzo salonów, a zaproszenia sypały się na wyścigi, tak dalece że nieraz nie wystarczyło panu Julianowi godzin, aby łaskawym za siebie chęciom odpowiedział. Grzeczny, usłużny, uprzejmy dla wszystkich dam, nie spieszył się jednak pan Julian z wyborem tej, któraby dalsze koleje jego życia podzieliła, gdyż nieraz w chwili, gdy tak lub owak twarzyczka wyrysowała się silniej w jego pamięci, jakiś dziwny dreszcz wstrząsał ciałem, a przecucie każało usuwać z pamięci jak najprędzej te obrazy. Tak zeszło lat pięć lub sześć — pan Julian awansował w tym czasie na dwa tysiące marek pensyi i już nie proszono, ale ciągnięto za poję do domów, gdzie kwiatki poznańskie prze-

kwitały w doniczkach. wyglądając napróżno amatora.

Pan Julian, szpak nielada, przypatrywał się tym wszystkim kwiatkom, chwalił, podziwiał, czasem nawet prawil komplementa, zakrawające niby na coś więcej, aniżeli na zwykłe salonowe grzeczności, ale odszedłszy, ani pomyślał, żeby którą z tych doniczek przenieść pod swój dach. Nie na próżno jednak starzy ludzie powiadają, że kosa trafić musi na kamień! Pan Julian dopóty wywijał się z pazurków miłości, dopóki ona poznawszy figlarza, nie zmieniła bojowego szyku.

Do tego samego domu na Garbarach, sprowadziła się na pierwsze piętro rodzina jednego z wyższych urzędników sądowych. Mówię rodzina, ponieważ pan Benedykt, niby głowa rodziny, nie znaczył w domu nawet tyle, ile zero postawione z lewej strony jakiejś liczby. Rodzina ta składała się z pana Benedykta, jego żony, dwóch córek dorastających, syna aplikującego w jednym z urzędów i synka chodzącego do szkół.

Zmiana lokatorów interesuje czasem tych, którzy przyrośli, że się tak wyrażę, do której z kamienic. Człowiek mieszkając przez jakiś czas w jednych murach, przywiązuje się do nich o tyle przynajmniej, o ile do murów przywiązać się można. Były przykłady, że więźnio-

wie wychodząc ze swoich cel, z zażawionem okiem żegnali się ze ścianami, w których każdą cegielkę policzyli, które słuchały ich żalów, ich marzeń, ich nadziei. Ale takich ludzi bardzo mało. Wioska, zaścianek, przysiołek, mają swoich serdecznych przyjaciół, którzy wykołysaną na ich ramionach głowę, radzi z ich objęć kładą do grobu — w mieście za ledwie setny czulszem okiem patrzy na mury, w których ma schronienie, reszta wita je bez radości, a żegna bez żalu. Można być pewnym, że chociażby najważniejsza historia wiązała się z przeszłością kamienicy, chociażby cegielki z niej można rozbierać, na pamiątki droższe od klejnotów, to jedna połowa lokatorów nie wie o tem wszystkim, a druga połowa nie uważa. Pan Julian jednakże był z małej liczby tych lokatorów, którzy nie są obojętni na losy dachu, który ich okrywa. Cieszył się, gdy gospodarz chwalił się przed nim, że ma porządnych lokatorów, że mu płacą regularnie komornicę, że stróża nie budzą po północy, aby otwierał im drzwi gdy wracają z hulanki, że częściej chodzą do kościołów niżeli do kawiarni, do restauracyi itd., itd. Otóż gdy się dowiedział, że pierwsze piętro zajęli nowi lokatorzy, wracając z biura, spojrzął ciekawie w okna pierwszego piętra — spojrzął, stanął — dobył zegarka, jakby chciał przekonać się która godzina, za-

piął guzik u rękawiczki, spojrzął na wielki but na który już tysiąc razy patrzył i nie szedł do siebie na górę, jakby przytrzymany jakąś niewidzialną siłą na prost okien, po których miał odbyć tylko zwykły przegląd i nie więcej. Nie wieźmiemy za złe panu Julianowi, że w taki sposób sprezentował się nowym sąsiadom, gdy dowiemy się, że w oknie pierwszego piętra ukazała się twarzyczka z czarnymi oczyma, z pełnemi splotami kruczych włosów, z ustami, które możnaby porównać do koralu, gdyby to porównanie nie było już strasznie zużyte, z brwiami jak dwa sznureczki jedwabne; — twarzyczka, której podobnej dotąd nie zdarzyło mu się widzieć, która odbiła się jednocześnie i w sercu i w duszy i w pamięci.

Piękna nieznajoma nie usunęła się bynajmniej od okna przed którym stanął zgrabny nieznajomy, a ślicznych kształtów rączką, poprawiła warkocz, otaczający równiutkie i gładkie czoło i spojrzeniem oddała za spojrzenie.

Byliby nasi nieznajomi Bóg wie dokąd oddawali sobie w podobny sposób swoje długie, gdyby nie gospodarz, który zaszedłszy niespodziewanie pana Juliana, podał mu rękę i zapytał:

— A cóż to, pan radca delegowany do ustanowienia podatku, że liczy okna w mojej kamienicy?

— Nie bynajmniej, ale to jakoś zmęczyłem się idąc i stanąłem — odrzekł łapiąc się pan Julian, a potem dodał: — kto tu sprowadził się na pierwsze piętro?

Gospodarz był to sobie, jak mówią, człowiek Bogu ducha winien, nie domyślił się więc tego zapytania i odpowiedział:

— A! tu, na pierwsze piętro, pan Benedykt X., urzędnik sądowy, ale ma podobno, aż sześcioro dzieci! Strach, zniszczą mi mieszkanie.

— Dzieci podobno dorosłe.

—Troje starszych, a troje jeszcze w wieku najszkodliwszym dla mieszkań. On sam podobno nie zły człowiek, ale u nich "djabeł w domu", baba rej wodzi, jegomości nos tylko widać z pod pantofla, a jejmość, mówią, jeszcze w strasznych krygach, choć ma już córki dorosłe i wcale nie szpetne.

Z całej tej rozmowy, wyraz, nie szpetne, najlepiej utkwiły w pamięci Juliana; pogadał coś jeszcze ze staruszką o pogodzie, zażył tabaki i poszedł do siebie. Przeszedłszy schody pierwszego piętra, tak się zmęczył, że musiał odpocząć. Odpoczywając, patrzył na drzwi oddzielające go od owych ślicznych oczek, gdy nagle drzwi się uchyliły, pokazała się w nich ta sama główka z prześlicznymi warkoczami, a srebrny głosik zawołał: — Marysia!

Pan Julian chciał się ukłonić, ale spostrzegł, że byłby głupstwo zrobić, drapnął więc na górę, jak student, którego złapią przy szparce we drzwiach podglądającego ubierające się siostrzyczki, ale ten wdzięczny głosik dobił go do reszty. Pootwierał okna, bo zdawało mu się, że w pokoikach za gorąco, kazał podać sobie lemoniady, i chodził wielkimi krokami, zapomniawszy, że godzina obiadowa mija. Świeże powietrze i lemoniada, uspokoiły cokolwiek gorączkę; przebrał się i wyszedł na obiad, ale wychodząc, obejrzał się na okna pierwszego piętra trzy razy — nie ujrzał w nich przecie, niestety obrazku, który wówczas nad wszelkie arcydzieła sztuki byłby przełożył. Jeszcze w tym samym tygodniu, pan Julian poznał się ze swymi sąsiadami, a jak tylko urządził się w nowozajętym mieszkaniu, oddał im wizytę.

Z początku nie podobały mu się niektóre rzeczy. Znalazł pana Benedykta zbyt dobrym, zbyt rozlazłym, a panią Benedyktową zbyt energiczną, zbyt pretensjonalną. Urządzenie domu wydawało mu się nieco przesadzone, nieco za bogate w stosunku do dochodów; ubiór samej pani, a nawet i panienek, nieco za strojny, za kosztowny; ale wszystkie te cienie ustąpiły przed blaskiem oczek panny Melanii, przed dziwną słodyczą jej głosu.

Cóż stąd, że matka trochę ma za wiele pretensyi, a woli za dwie osoby; przecież ja z matką żyć nie będę — mówił do siebie pan Julian do siebie w chwilach pasowania się rozsądku z miłością. Rozsądek stawiał mu przed oczyma wszystkie spostrzeżone i posłyszane wady osób, z którymi miał związać losy swojej przyszłości, a miłość szepnęła tylko słówko i stało się zawsze tak, jak powiedział jeden z wierszopisów:

Rozum i serce dwa wrogi,
Na straszny bój się wyzwalili,
Wtem weszła Basia do sali;
I rozum w nogi.

Pocziwy syn pojechał do rodziców, zwierzyć im swoje troski i nadzieje, sprowadził do Poznania, zapoznał z domem państwa Benedyktów i prosił o radę, o wskazówkę jak ma postąpić.

Ojciec urodzony i wychowany na wsi, nie zna zupełnie miasta i jego obyczajów. Pan Benedykt ujął go swoją uniżonością, a pani Benedyktowa słodkimi grzecznościami. Wystawne życie wziął za dowód zamożności, a pretensye za dworskość, którą za młodych czasów widywał na dworze ś. p. jenerała N., — powiedział więc:

— Synu, ja nie mam przeciwko tym ludziom, a ty radź się twego serca.

Matka rządząc się więcej instynktem macierzyńskim, aniżeli trafnością sądu, po pierwszej wizycie nie powiedziała, ale poszła do Dominikanów, klęcząc wysłuchiwała mszy świętej przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i wróciwszy, rzekła:

— Julku, ja nie znam waszego świata, a słyszałam, że tu u was w Poznaniu nie wszystko prawda, co się widzi i słyszy. Państwo Benedyktowie ludzie grzeczni, zdają się, że zamożni, panienka ładna i miła, a jednakże Julku, serce moje drży na samą myśl, że ty masz się z niemi połączyć. Prosiłam Matki Najświętszej, aby mnie oświeciła, aby mi dodała sił powiedzieć ci co czuję. Nie wiem, czy prośba moja wysłuchana, ale mi lżej przyszło zasmucić cię. Jednakowoż mój Julku, nie wiążę cię mojemu słowami; tyś już człowiekiem ukształconym, ty masz rozum i zastanowienie, zrób jak one ci podyktują, a ja z macierzyńskiem sercem uścisknę moją synową i kochać ją będę jak ciebie.

Pan Julian uściskał ręce dobrej matki i już się zachwiał w postanowieniu, gdy idąc do biura, wstąpił do kościoła farnego i przechodząc korytarzem po prawej stronie, spostrzegł Melanię klęczącą na stopniach ołtarza. Modliła się tak gorąco, tak żywo, że pan Julian nie mógł oderwać od niej spojrzenia; a gdy doj-

rzwał, że podniosła chusteczkę do oczu, gdy spostrzegł, że ta chusteczka była na pół łzami zmoczona, wybiegł jak oparzony z kościoła i opowiedział wszystko rodzicom; tego samego wieczora oświadczył się urzędownie o rękę panny Melanii.

Za parę miesięcy nastąpił ślub i pan Julian z żalem opuścił swoje ciche ustronie na Garbarach, przenosząc się do ślicznie urządzonego mieszkania przy jednej z nowych ulic, składającego się z czterech pokoi z salonikiem, gdyż taki rozkład mieszkania, przysłała jego żona uznała za konieczny.

Kiedy wyniesiono resztę rzeczy z mieszkania na Garbarach, pan Julian otworzył okno, patrzył na Wartę, na Tum, Chwaliszewo i przyległe błonia i przypomniał sobie wszystkie godziny szczęścia, zadowolenia, marzeń i nadziei, które mu w tych murach ubiegły i płakał. Czy to było tylko dziecinne [tak sobie wyrozumował] przywyknienie — zobaczymy.

II.

Z dozwoloną kodeksem pisarskim łatwością, przeniesmy się o cztery lata później do mieszkania państwa Julianów, ale już nie do tego, które zaraz po ślubie zajęli ale do wspólnie urządzonego apartamentu przy ulicy Li-

powej, składającego się z sześciu pokoi, z oddzielnymi oszklonemi schodami.

Pan Julian chodzi wielkimi krokami po swoim gabinecie, zastawionym palisandrami, bronzami, świecidłami; ale na jego twarzy ponurej i smutnej, nie widać już tego spokoju, który dawniej każdy ruch tej twarzy opromieniał, bo swoboda i spokój uleciałby z łona mniemanego dostatku, bo zbytek wywiódł za sobą troski i niepokoje, bo ludzie mówią, że u niego "djabeł w domu".

Wszedł lokaj w liberyi i zaanonsował:

— Pan Warthanes.

— Powiedz, żem wyszedł do biura.

— Kiedy on w bramie pytał się stróża i stróż mu powiedział, że pan jest.

— Powiedz, żem chory.

— Nie uwierzy, bo stoi w kapeluszu i strasznie coś gada.

Pan Julian siadł przy biurku, napisał kilka słów i oddając kartkę lokajowi, rzekł:

— Powiedz, niech jutro przyjdzie, a wszystko się skończy.

Kiedy drzwi się otwierały, pan Julian odetchnął swobodniej, przeszedł się parę razy i chciał już wyjść, gdy lokaj znowu drzwi otworzył.

— Pan Odrobina chce się z panem widzieć.

— Raz już powiedziałem, że mnie nie ma. Po dobrym kwadransie lokaj znowu głowę wysadził.

— Przyszedł jakiś żyd i mówi, że ma pilny interes do pana.

— Jaki interes?

— Nie wiem, ale mówi, że bardzo pilny.

— Puść go.

I pan Julian usiadł przy biurku.

Wszedł izraelita w czarnym najświeższego kroju tużurku, w wysokim kołnierzyku, z pękiem breloków przy ciężkim, złotym łańcuszku i ukłoniwszy się nisko, rzekł:

— Niech wielmożny pan radca przebaczy, ale ja o tego wczorajszego interesów.

— Powiedziałem przecież, że to być nie może: takie interesa nie uchodzą płazem.

— Wielmożny pan radca nie byłby strasny, ja sam 900 mareczek zaraz daję, oto jest.

Pan Julian zerwał się na nogi, ścisnął pięści, uderzył niemi w blat biurka, że żyd o parę sążni odskoczył.

— Nul co tu się gniewacz, nie, to nie.

Pan Julian usiadł, oparł głowę na rękę i w głębokie pograżył się dumanie. Żyd znawca serca ludzkiego, położył mu na biurku dziesięć papierków sto markowych i stał przy progu, czekając końca tej wewnętrznej walki.

Pan Julian zbladł jak trup, wyciągnął rękę, schował papierki do biurka i nie obracając się rzekł:

— Jutro przyjdiesz do biura po decyzję.

Żyd uklonił się i wyszedł, a pan Julian zerwał się, skoczył do szafki, otworzył ją i z gorączkowym pośpiechem, czy kto na niego nie patrzy i pociągnął sporą porcję gdańskiej wódki.

Na bladą przed chwilą twarz, wyskoczył rumieniec, oczy zapłonęły sztucznym ogniem.

Usiadł znowu przy biurku, dobył jakąś książkę in folio w zielonej oprawie, otworzył, pokiwał smutnie głową, wziął pióro do ręki, pomyślał chwilę i pisał:

“Środa dnia 17 stycznia. Biada! biada temu, kto wyciągnie rękę po pierwszy dług. Ręka, która podpisuje, pierwszy weksel, bodajby lepiej wiecznem kalectwem dotkniętą była. Pierwszy dług, pierwszy weksel, to więcej jak kalectwo, to śmierć moralna. Ja to powiem, ja to czuję, a jednak. . . O! bo ja ją tak kocham. nie umiem jej nie odmówić, lękam się skutków innego obejścia. A matka! matka — onaby zaraz wykrzyknęła przed całym światem, że zabijam jej dziecko, że jestem najnieznośniejszym tyranem. Boże! Boże! do czego to mnie doprowadzi? . . . Doprowadziło mnie do hańby. Pierwszy raz w życiu wyciągnąłem

rękę po pieniądz, kosztem sumienia i honoru nabyty. Wziąłem go, schowałem, a jednak on pali moje piersi, rozsadza głowę. Wziąłem go, bo jutro przyjdzie obrzydły lichwiarz po ratę wekslowego długu, bo drugi nie zamyka drzwi, upominając się o kilkaset marek, niby po przyjacielsku pożyczonych. Boże! wesprzyj mnie, daj, abym wybrnął z tych nieszczęśliwych długów, natchnij ją większą względnością na moje położenie, bo drzę na samą myśl co będzie dalej. Hańba! hańba! a jam mąż i ojciec? Wielki Boże! pomocy i opieki!”

Zamknął książkę, schował do biurka, znowu chodził po pokoju i zajrzał do flaszki, gdzie stała butelka z gdańską wódką.

Gdy nieszczęśliwy pan Julian pasuje się w podobny sposób, z pierwszym wyrzutem sumienia, z okropnemi myślami i z namiętnością, przejdźmy na drugą stronę do pani Julianowej.

Byliście kiedy czytelnicy w buduarze światowej, pretensjonalnej kobiety? Uważaliście, jak tam wszystko technie nią samą, odbija główną kierowniczą myśl? Patrzenie, toaleta sprzęt najpierwszy, na niej zwierciadło w srebrnych ramach, a obok zwierciadła flaszki, flaszeczki, słoiki, flakony, że nie w jednej prowincjonalnej aptece mniejby się podobnych rzeczy znalazło. Na każdej wyłożona, ukolo-

rowana etykieta, objaśnia co i do jakiego użytku służy, bo inaczej, trudnoby tam trafić do jakiego ładu. Z boku kozetka na sprężynach i kółkach, a przed nią stolicek misternej roboty, z koszem na bilety wizytowe i małemi jego braciszkami na kłębuszki i inne drobiazgi do robót potrzebne. Naprzeciw kozetki, wielkie zwierciadło w palisandrowych ramach, umieszczono tak, aby siedząca osoba cała mogła się zobaczyć, od czubka głowy, aż do trzewiczka na drobnej nóżce. Dalej tu i owdzie fotele, fioletowym aksamitem obite, przesuwające się na kółkach, lub kołyszące na biegunach, dalej turecka sofa kobiercami okryta, dalej znowu zwierciadło, fotele i konsole, zapchane mnóstwem figurek i drobnych sprządek; dalej stolicek z najświeższymi numerami wszelkich dzienników mód, jakie tylko w głośniejszych z gustu stolicach europejskich wychodzą; dalej małe pulpiceiki z książkami i nutami; dalej rozmaite ozdoby z marmuru, alabastru i bronzu; dalej wielki portret pani domu, w wielkich złotych ramach, z zwierciadłem łamanem naprzeciw, aby piękne rysy odbijały się w tysiącnych kształtach; dalej już rzeczywiście nie wiem na co zwrócić uwagę, bo takie tam mnóstwo wszystkiego, taka rozmaitość we wszystkim, że trudno posługiwać się samą tylko pamięcią.

W takim buduarze na kozetce, siedziała pani Julianowa, w śnieżnej białości szlafrocuku, ohaftowanym na wszystkie strony. Ranny ślicznej formy czepeczek, okrywał jej bujne włosy, starannie już uczesane, a nóżki oparte od niechcenia na kanwowej poduszce, obute były w ponsowe, złotem i srebrem przerabiane pantofelki. Z drugiej strony stoliczka, w jednym z foteli tonęła kobieta, już nie młoda, ustrojona pretensjonalnie w kwiaty i ciężkie materye, z lokami wijącemi się w około twarzy. Była to matka pani Julianowej.

— Przyszłam tu dowiedzieć się — mówiła matka — czy będziecie na balu w bazarze?

— Będziemy, z pewnością będziemy.

— Ale jakże się ubierzesz mój ptaszku; morowa suknia już jest znana, byłaś w niej dwa razy. Niebieskiej nie bierz, bo ci w niej mój ptaszku nie do twarzy, weź lichy kilkaset marek; a ubrać się bez gustu niepodobna. Szamao bardzo powszechna niczem się nie odróżnia, a trzeba mój ptaszku strzedz takich zwykłych kolorów, co to niczem się nie odróżniają. Ja tu wczoraj upatrzyłam u Mosesa cudny adamaszek w pasy, przyniosłam ci na próbę, obacz i kup zaraz, bo wiesz mój ptaszku, że piękne rzeczy u Mosesa nie doleżą.

— Ach prześliczny, prześliczny, właśnie do mojej twarzy, do moich włosów, do mojej

szmaragdowej broszki, do moich bransoletek. Mamo! kochana mamo! dziękuję ci serdecznie, jakaś ty dobra, ja spać nie mogłam przemyślać, w czym ja będę w Bazarze.

— A na głowę co weźmiesz?

— Nie wiem. Ha, jużci ten stroik z pereł.

— Fe! miałaś go już u pani dyrektorewej. Nie można, nie można, mój ptaszku; powiedzieliby, że stroisz się jak mieszcanka, zawsze w jeden kornet. U Adeli widziałam prześliczny stroik z piór; wczoraj przyszedł z Parzyża, będzie ci w nim do twarzy.

— Obaczę.

— Licz na mój gust. Ale ptaszku, czy nie myślicie u siebie dać wieczoru; bywacie wszędzie, bawicie się doskonale, warto i do siebie zaprosić, bo to teraz źle widzą.

— O! i owszem kochana mamo, myślimy i bardzo myślimy, ale Julian mówi, że nie jest teraz przy pieniądzech.

— On zawsze tak mówi, ale ty na to mój ptaszku nie zważaj, jak będzie widział, że się go nie pytasz, to pieniądze znajdzie. Ale, ale, na śmierć zapomniałam zapytać się, jak się też ma Adaś?

— Nie bardzo dobrze. Doktor mówi, że wywiązują się żarnice. Nie wiem przy kim ja go zostawię, gdy pójdziemy do resursy.

— Śmieję się z tego; żarnice, to słabość mała, możesz być o niego najspokojniejszą. Zostaw go przy Marcinieckiej, każ obłożyć pierzynkami, napalić dobrze w piecu i kwita.

Gdy pani Benedyktowa domawiała tych słów, drzwi się z trzaskiem otworzyły i wszedł pan Julian z twarzą dziwnie jakąś wesołą, z oczyma niby szklanemi. Pocałował panią Benedyktową w rękę i rzucił się na kozetkę obok żony, a objawszy ją w pół, rzekł:

— Meleiu! jak ja ciebie Kocham!

Pani Julianowa wpatrzyła się w niezwyčajne oblicze męża i sądząc, że musiało go spotkać jakieś niespodziewane szczęście, rzekła:

— Mężu! mnie trzeba pieniędzy.

Na ten wyraz, który jak iskra elektryczna wstrząsnął całym ciałem, pan Julian zerwał się z kozetki, zaczął o suknię pani Benedyktowej, udeptał ulubionego jej szpicca i odrzekł:

— Pieniądzy!?! mówiłem, że nie mam pieniędzy.

— Co to nie mam. Co to pan będziesz tak grubijańsko odpowiadał żonie, co to pan będziesz potrącał jej rodzoną matkę! — wrzasnęła pani Benedyktowa. Nie dość, że ona oszczędzać się musi w najkonieczniejszych potrzebach, że stosuje się do grymasów pana i wy-

stawia się na obmowy ludzkie, nie dając u siebie wieczorów, ale jeszcze chcesz, żeby łachmanami świeciła pomiędzy ludźmi. Ona jest najnieszczęśliwszą z kobiet. Czy to ją pan wprowadzałeś na bale do hrabiego M. czy jej trzymasz powóz i konie, jak robi pan Franciszek, czy choć raz zawiozłeś ją choć do Spa, do Karlsbadu, do Dieppe, do Ostendy, he! co? I jeszcze śmiesz mówić, że nie masz pieniędzy!

— To prawda, że ja jestem najnieszczęśliwsza! znosić tylko ciągle przymówki, ciągle narzekania, podczas gdy inni mężowie, uprzedzają chęci swych żon — to nad siły. Ja dłużej nie wytrzymam, bo moje zdrowie niknie; czuję już tu zarody okropnej słabości, skutki tego obchodzenia się. Ach! Boże, mój Boże!

I łzy, które elegantki mają pod ręką, oblały jej białą twarzyczkę.

Biedny pan Julian porwał się za głowę, pobiegł do siebie i wróciwszy, położył przed rozpaczającą żoną trzy sto markowe papierki. Potem uklonił się ceremonialnie pani Benedyktowej, spojrzął na żonę wzrokiem, w którym odmalowała się historia jego duszy i wyszedł.

Pani Julianowa otarła łzy, zadzwoniła na służącą, aby ją przyszyła ubrać.

W godzinę toaleta była już ukończoną, a uśmiechająca się córka i zadowolona tryum-

fem matka, udały się do Liszkowskiego, wymienić zdobyte pieniądze owe ze spokojnem sumieniem, na kilkanaście łokci adamaszku i kilka piórek.

Pan Julian tego samego dnia wyszedł jeszcze na śniadanie z jednym z klientów i nadzwyczaj zasmakował w przedziwnym zieleniaczku z czarną pieczętką.

W kilka dni pan Julian prosił kolegów na pogrzeb jedyne go swego dziecka, małego Adasia, któremu służąca dała napić się zimnych ziółek w czasie, gdy matka w nowej sukni i w nowym stroiku tańczyła w Bazarze polki i kontredanse.

Nieszczęśliwy ojciec nie mógł być na pogrzebie swego dziecięcia, zamknął się w swoim pokoju i powiedział, że mocno chory.

Nazajutrz jednak poszedł do biura.

A dalej? Dalej co zaszło, czytelnicy sami w duszy swej dośpiewałyby sobie mogli.

Pan Julian brnąc coraz bardziej w długi, nie mógł otrząsnąć się z chętki łatwego zaspokojenia tych długów. Co dzień więcej odbierał rannych wizyt w domu od brodatych i niebrodatych klientów, aż wreszcie przebrała się miarka. Zwierzchnicy nie wierzyli głuchym szeptom znając nieugięty charakter pana Juliana, ale wkrótce szepty zmieniły się w fakta. Zacierano i fakta, nie chcąc gubić nieszczęśli-

wego, grzeszącego tylko powolnością dla zbytnicy, ale coraz więcej tych faktów wyłaziło na wierzch. Wtedy niepodobna było dłużej tolerować zgorzenia, odebrano panu Julianowi wpływowy urząd, a dano mu taki, z którego jak to mówią i na tabakę nie mógł mieć zysku. Dotknięty tą publiczną hańbą, pan Julian rozpił się na piękne. Zaczynał pić rano, a kończył do poduszki. W chwilach, w których był przytomniejszy, szedł na Garbary, siadał na progu domu, w którym tyle dni szczęścia i swobody mu upłynęło i płakał. Poczciwy gospodarz sądząc, że otarcie o mury tyle mu drogie zobowiązani nałóg, dał mu bezpłatnie dawne mieszkanie, aby w niem kilka godzin dziennie przebywał, ale i to nie pomogło: namiętność straszliwa wzięła górę i wkrótce widziano pana Juliana tułającego się po szynkach i pokazywano go sobie, jako widmo zbytków i życia nad stan.

Zaraz po odebraniu panu Julianowi intratnego urzędu, zacna małżonka widząc że wierzycciele grabią wszystkie sprzęty, które gust i próżność zgromadziły, że urywa się ostatnia deska, na której budowała nadzieje dotychczasowego życia, pod pozorem nałogu, jakiemu oddawał się pan Julian, rozłączyła się z nim i rozpoczęła proces rozwodowy. Ale że punktów do rozwodu nie było, a trafił się

młody, przystojny panicz, który zaofiarował się ze swemi usługami i ze swoim majątkiem, nie było więc chwili do stracenia. Przyjęła tę zaszczytną propozycję i oboje wyjechali zaraz za granicę, podobno do Szwajcaryi, czy do Włoch, gdzie jak mówią, majątny panicz w nagrodę poświęcenia, kupił pani Julianowej śliczną willę, a po kilkomiesięcznym z nią pobycie, wyjechał bez pożegnania, goniąc za jakąś nową zdobyczą.

Pani Benedyktowa dopóty trzymała za czuprynę poczciwego męża, dopóki nie wyrwał się jej i nie uciekł na ementarz. Wtedy zbytnica ujrzałaby się była nagle w najokropniejszej nędzy, gdyby nie pomoc najstarszego syna, który ujawszy najpierwszym swoim potrzebom, wziął ją do siebie z dwiema siostrami i najmłodszym bratem. Hulać nie było możliwości, powoli więc sprzedawały się brosze, bransolety, zegarki, aby było za co ukradkiem przed synem stroić młodsze córki i świecić niemi po alejach, ogrodach i ogródkach. Gdy kosztowności nie stało i potrzeba się było wyrzec strojów, czuła matka wyprawiła najmłodszą córkę do pani Julianowej, aby wykształciła się na jej wzorach, a starszą wypchnęła prawie gwałtem za siedemdziesięcioletniego milionera. Zaraz po ślubie przeniosła się do domu zięcia, aby dopomódz córce do zawojo-

wania starego lisa. Obydwie stroją się teraz bardzo wspaniale, jeżdżą karetami i dają wieczory. Jedni, którzy nie patrzą dalej, zazdroszą im tego szczęścia, drudzy mówią, że ex-handlarz ma aż dwa djabły w domu.

Biedny pan Julian umarł niedawno na progu kamienicy na Garbarach. Nie było go za co pochować, ale koledzy złożyli między sobą odpowiednią kwotę i uprosili proboszcza od tary, że z kilku księżami odprowadził na wieczny spoczynek zwłoki człowieka, który byłby przebiegł z pożytkiem dla ludzkości zakres od Boga przeznaczony, gdyby fatalizm nie złączył jego losów z plagą rodzaju ludzkiego, z kobietą zbytnią.

KONIEC.



8711